



Witomiła Wołk-Jeziarska

W głębi dołów nasi ojcowie

mojej Mamie

Zbliżały się ostatnie dni sierpnia 1939 roku. Ojciec mój, oficer zawodowy – wykładowca Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii, wpadł wczesnym rankiem do domu i zawołał do mamy

– Wyjeżdżaj natychmiast do rodziców. Twój stan nie pozwala ci pozostać, potrzebujesz opieki, a ja wyjeżdżam na pobór koni. Czas jest niepewny; spodziewam się najgorszego.

Pociąg uwoził mamę w drugi koniec Polski. Ulicami opustoszałej Warszawy wojsko pędziło tabuny koni. Kolej, mimo wiszącego niebezpieczeństwa, działała sprawnie. Numerowi przynosili bagaże a nadane paczki dotarły wraz z mamą do Przemyśla.

Niepokoje ojca były uzasadnione, w istocie za parę dni wybuchła wojna. Wojska nasze przesuwały się ku wschodniej granicy pod nawałą uderzeń niemieckich. Wraz z wojskiem podążali cywile szukający ochrony przed wrogiem lub jak mama, starający połączyć się z rodzinami.

17 września, wraz z falą wojska, mama znalazła się w okolicach Kołomyi. Nikt nie wiedział, co oznaczało uderzenie sowieckiej armii. Powtarzano dyrektywę Naczelnego Wodza – nie walczyć z Sowietami. Wycofano się w kierunku „przedmieścia rumuńskiego”. Równocześnie dochodziły wiadomości o wzięciu do niewoli 10. pułku artylerii ciężkiej (dalej oznaczam pac) z Przemyśla, którego oficerem był mój dziadek.

W ucieczce przed wrogiem droga była jedna – przejście do Rumunii. Moi bliscy przekroczyli granicę w Kutach przez most graniczny na Czeremoszu.

Rozdzielenie rodziny stało się faktem, część pozostała w Polsce pod okupacją niemiecką, część pod okupacją sowiecką. Ojciec w niewoli radzieckiej, a mama z rodzicami i siostrą w Rumunii. Los wszystkich był dramatyczny.

Długo po wojnie, okazało się, że ucieczka do Rumunii była naszym ocaleniem. Mój dziadek, jako major – oficer 10 pac, dostałby się do niewoli sowieckiej pod Kołomyją i zostałby internowany w obozie w Starobielsku, skąd droga prowadziła w 1940 roku na rozstrzelanie w Charkowskim więzieniu NKWD. Ciało nie odnaleziono by w dołach tamtejszego tak zwanego „leso-parku”. Los ten spotkał dowódcę 10 Pułku Artylerii Ciężkiej pułkownika Bokszczanina, kapelana księdza Kontka i innych, którzy nie zginęli w czasie niemieckich bombardowań, a zostali zagarnięci przez Armię Czerwoną i przekazani NKWD.

Mama, jako żona oficera, została wywieziona na Syberię, tak jak stało się z matką mojego ojca i całą jego rodziną, zamieszkującą w okolicach Dżyżny.

Królestwo Rumunii przyjęło Polaków.

Wojsko i ludność cywilną, która rejestrowała się jako uchodźcy, umieszczono w miejscowościach lotniskowych, by po jakimś czasie utworzyć dla wojska obozy internowania, które prowadziły dokładną ewidencję internowanych. Jeden z takich obozów, przeznaczony dla wyższych oficerów, znajdował się w miejscowości Rargoviste. W obozie tym przebywał mój dziadek – major lekarz weterynarii. W kwaterach w mieście mieszkała pozostała część rodziny. Tak cywile jak wojskowi mieli prawo wzajemnych odwiedzin, na które wydawano specjalne przepustki.

Miejscowość Targoviste stała się miejscem mojego urodzenia.

Od 17 września trwały gorączkowe poszukiwania mojego ojca, a on z kolei, gdy NKWD zezwoliło na wysłanie jednego listu miesięcznie, szukał nas.

Wiadomo było, że Mazowiecka Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii z Zambrowa znalazła się we Włodzimierzu Wołyńskim, natomiast dalsze losy jej oficerów i całego ogromnego Garnizonu Włodzimierz nie były nikomu znane i pozostały tajemnicą, odkrywaną w bardzo skąpym wymiarze, do obecnych czasów.

„Witek jest w niewoli sowieckiej” – telegram tej treści nadszedł od rodziny pozostałej w Przemyślu. Można było nareszcie napisać do ojca na adres: „СССР город Козельск, смоленская область, почтовый ящик Nr 12”. I tak odnaleźli się na parę chwil potrzebnych do przekazania wiadomości o moim urodzeniu. Od ojca przyszła najdłuższa, najobszerniejsza kartka z Kozielska, napisana 6 marca 1940 roku. Jedna jedyna. Jest ona pełna informacji o kuzynach więzionych we Lwowie na Brygidkach, kolegach-oficerach, życzeń dla młodej matki, oczekiwań związanych z moim chrztem w Polsce – w wolnej Polsce, na który wybierają się wszyscy oficerowie i który ma się odbyć po wojnie. Cała treść była wprost przepelniona nadzieją na powrót do wolnej Polski, na dalsze szczęśliwe, normalne życie, na możliwość roztoczenia opieki nad rozdzieloną rodziną. W końcu liczyło się to dziecko, które przyniosło moim rodzicom zmiany w ich życiu. Ojciec prosił o czekanie na wszystkich z Kozielska.

Po latach, biorąc do ręki kartkę od ojca, mogłam tylko powiedzieć:

... W twojej kartce,
tak małej –
jest wszystko, co mam od Ciebie:
radość pamięci
boleść oddalenia
nieśmiałe zdziwienie...
że jestem
częścią Ciebie...

Nadzieja na spotkanie, wyrażona przez ojca, kierowała naszymi losami, kazała nam czekać na jego powrót, kazała nam wracać do Polski, chociaż nie była to Polska wymarzona przez Kozielczan.

Po tej jedynej wiadomości korespondencja urwała się bezpowrotnie. Nikt o niczym nie wiedział do 13 kwietnia 1943 roku, gdy jak cios z jasnego nieba spadła na wszystkich wiadomość o wymordowaniu kadry oficerskiej Wojska Polskiego, jeńców wojennych chronionych prawem wojennym, w lesie pod Katyniem.

Kazimiera Iłakowiczówna, przebywająca również w Rumunii, wstrząśnięta napisała:

O Boże...
[...]
O czym myślał, zanim umierał
za szeregiem walący się szereg?
[...]
O Boże...
Czy im
się pożegnać dano?
Czy do końca, aż kat wystrzelił,
o niczym nie wiedzieli?

Wiersz ten, wstrząsający do głębi, przeczytał dziadek w Roczniku Biblioteki Polskiej w Bukareszcie.

Obozy internowania w Rumunii zlikwidowano, po jakimś czasie, umieszczając Polaków w wyznaczonych miejscowościach i domach. Z każdą rodziną jeździł policjant, ze spisem przydzielanych kwater. Były to miejscowości lotniskowe takie jak Bayle Gowora czy Calimanesti i inne małe wioski czy osiedla.

W obozie nawiązywały się znajomości, które przetrwały próbę czasu i kontynuowane były w Polsce, po powrocie, jak ta z panem majorem Władysławem Zalewskim, którego odwiedzaliśmy często w Warszawie w wiele lat po wojnie.

Pośród uchodźców był sławny pediatra krakowski doktor Nowosielski, który uratował mi życie, gdy rozchorowałam się bardzo ciężko jako niemowlę i nikt nie potrafił postawić diagnozy.

Rodzina, już na początku pobytu, wymieniła skromne zasoby pieniężne na pieniądze rumuńskie leje i musiała wykazać się znaczną inwencją i gospodarnością, aby utrzymać się z zapomogi rumuńskiej, zmniejszanej stopniowo z biegiem czasu, latami trwającej wojny.

O wszystko trzeba było starać się samodzielnie, wszak była wojna i brakowało bardzo wielu rzeczy. Babcia przygotowywała sama prawdziwe, pachnące mydło z łoju, sody i innych składników, łącznie z zapachem robionym z kwiatów bzu.

Mama z babcią rozpoczęły „produkcję” butów. Podeszwy robione były ze specjalnego, grubego sznurka, misternie układanego na specjalnej tekturce – preszpanie, przytwierdzonej do kopyta. Wierzchy były ozdobne – z kwiecistych materiałów lub robione szydełkiem. Buty były bardzo piękne i cieszyły się wielkim powodzeniem, klientki przyjeżdżały z Bukaresztu. Ja, bawiąca się z dziećmi rumuńskimi i stale kręcąca się między mamą a naszymi gospodyniami – Rumunkami, władałam biegle dwoma językami i w sprawach handlowych spełniałam rolę tłumacza. Zasiadałam na łóżku, bo miejsca było mało w skromniutkim pokoju, i proponowałam babci pomoc, przyjmowaną z wielką wdzięcznością. Z obowiązków tłumacza wywiązywałam się zawsze doskonale.

Zycie toczyło się, w pewnym sensie, normalnie. Młodzi i moja ciocia, która była świeżo po maturze, pojechali do Bukaresztu na studia. Z wyjazdem tym łączyło się wiele przygód. Naprzód została okradziona z całego, bardzo skromnego dobytku. Następnie zamieszkała w akademiku, który był w niebywałym stopniu zapluskwiony. Pluskwy nie dawały spać, wychodząc na żer nocą wypijały młodą krew i potwornie śmierdziały. Dziewczęta walczyły z nimi ogniem i o mały włos spaliłyby cały ten pluskwi przybytek. Po tym wypadku dostały dopiero jakieś ludzkie mieszkanie.

Rumuni byli nastawieni do nas bardzo dobrze. Gospodyni, u której mieszkaliśmy w Oknicy, pani Georgescu, obdarowywała mnie kurzą wątróbką przy każdej nadarzającej się okazji i zapraszała na uroczystości rodzinne. Jedną z nich były chrzciny. Na ganku ustawiono ogromną chrzcielnicę, pełną wody i udekorowaną kwiatami. Brodaty pop odmawiał modlitwy i trzymając dziecko za nóżkę zanurzał je całe kilkakrotnie, główką w dół, w chrzcielnicę. Wydawało mi się to okropne, bo dziecko krzychało, ile sił w piersiach, no i bałam się, że się utopi. Mama pocieszała mnie, że mój chrzest nie będzie, na szczęście, taki jak ten. Faktycznie był inny. Odbył się bez ojca, w Polsce Ludowej, w Katedrze w Przemysłu i byłam całkowicie samodzielna w moich wyznaniach wiary. Obok mnie stał mój ojciec chrzestny, mecenas Julian Szancer, którego brat Antoni podzielił los mojego ojca.

Każda wiejska dziewczyna zdejmowała z głowy ogromnych rozmiarów kosz, aby dać mi jabłko. Był to wielki wysiłek, bo kosz ten był ciężki i stawiany na głowie na specjalnie zwiniętej chustce. Za każdym razem, gdy ten ciężar zdejmowano z głowy, trzeba było związać chustkę na nowo i z namaszczeniem i wysiłkiem taszczyć na głowę ten ciężar i wyważyć go bardzo precyzyjnie ponieważ musiał się utrzymywać na głowie bez pomocy rąk. Kobiety chodziły lekko, bardzo wyprostowane, tak jakby nic nie nosiły. Patrząc na te zabiegi nauczyłam się zawiązać chustkę i nosić mój kosz lub stertę książek na głowie bez trzymania rękami, tak jak Rumunki, a zwyczaj ten zachowałam przez całe moje dzieciństwo.

Uczyliśmy się jeść potrawy rumuńskie, a do ulubionych należy, do dzisiaj, musaka i mamałyga. Mamałygę przygotowuje się z kaszy kukurydzianej, musakę zaś z mięsa, pomidorów, bakłażanów. Na co dzień wystarczał mi miękki, bielutki chleb, krojony w grube pajdy. Gardziłam nim tylko wówczas, gdy byłam zapraszana, przez gospodynię, na smażoną wątróbkę.

Wielkim naszym przyjacielem był staruszek profesor Popescu, który zaopatrywał nas w owoce ze swojego ogrodu, a dla mnie przygotował wspaniałe prawdziwe sanie, które były miniaturą wiejskich sań. Miałam też, dzięki dobroci profesora Popescu, maleńki stolik i krzeselko – moje własne mebelki. Stolik przebył ze mną drogę do Polski i do dziś dnia przypomina mi staruszka profesora i moje rumuńskie dzieciństwo.

Dziadziuś mój nie pracował. Cały swój wolny czas poświęcał mojemu wychowaniu, jako że nasze „panie” pracowały. Odbywaliśmy długie spacerunki po okolicy. Była to doskonała szkoła poznawania przyrody. Wdrapywaliśmy się na niesamowitą górę w kształcie wachlarza, która nazywała się Evantaj. Na szczycie rozciągała się baśniowej piękności łąka.

Niedaleko za domem w miejscowości Oknele Mari, przebiegała linia kolejowa, przez którą trzeba było przeprawiać się uważnie, by dostać się do sosnowego lasu. Wysokie czerwieniejące w słońcu pnie drzew pachniały żywicą, zaś głębia lasu była ciemnozielona, pełna krzewów dzikiej róży okalających małe jezioro. Nad jeziorkiem przelatywały ogromne cudownej niebieskości ważki, a w liściach poszycia przechadzały się jeże. Ten sielski widoczek nie był niczym zakłócany. Przez wysokie drzewa przesączało się słońce, a my z dziadziusem pograżaliśmy się w lekturze rumuńskich książek dla dzieci o zwierzętach w ZOO, o Kaczorze Danielu i Księżycu i wielu innych. Rozmowom i nauce nie było końca. Nie były to tylko rozmowy o zwierzętach, dziadziuś uczył mnie o Polsce, uczył mnie, że i ja jestem Polką i przygotowywał na spotkanie z tą nieznaną Ojczyzną. Patriotyzm mego dziadka i jego rodziny był ogromny, wszak byli oni założycielami kółek wolnościowych za czasów zaborów, żołnierzami Brygady Legionów i Armii Hallera, oddawali życie za Polskę w 1920, 1939, 1940 roku i podczas Powstania Warszawskiego. Dziadek za te działania patriotyczne zapłacił zdrowiem w Polsce Ludowej w więzieniu UB.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla darów nieba...

Tęskno mi Panie...

Słowa wiersza Norwida, wypowiedane przez dziadka, wyrażały tę samą wielką, nostalgiczną tęsknotę i miłość do ojczyzny, jaką była tęsknota naszego wieszca. Dziadek mój miał wielkiego sprzymierzeńca w tej poezji, której każda zwrotka mówiła, jak trzeba kochać to wszystko, co jest w Polsce i jakimi prawami miłości kierują się Polacy. Wychowywał mnie na tej poezji. Miłość i tęsknota do Ojczyzny przepędiała wszystkich wygnańców. Powstała przepiękna pieśń tułacza:

O Panie, który jesteś w niebie,
wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
wołamy ze wszech stron do Ciebie, o
polski dom.

O Panie, skrusz ten miecz, co siecze Kraj,
do wolnej Polski nam powrócić daj, by
stał się twierdzą nowej siły nasz dom,
nasz Kraj.

Śpiewano ją na spotkaniach w małych gronach i ile łez wtedy wylano, nikt nie jest w stanie powiedzieć.

Po dziesięciu latach, już w wolnej Polsce, usłyszałam tę pieśń w kościele. Melodia zapamiętana z odległego dzieciństwa powróciła falą wspomnień. Była to nasza pieśń, tych z Rumunii. Modlitwa spełniła się, ale niewielu, z tych śpiewających ją w Rumunii pozostało przy życiu i radość naszą ze spełnienia dawnej prośby przytłumiał smutek.

Żyliśmy na uchodźstwie, pośród innej narodowości, w czasie toczącej się wojny. Nas, dzieci, wojna ta również dotykała, chociaż przelatujące nad naszymi głowami eskadry samolotów były rzadkością. Pamiętam jak w sadzie, przez korony drzew, obserwowałam ciężkie, obciążone bombami metalowe, srebrne ptaszyska, które wyły groźnie w swojej drodze na front.

Dzieci nie miały zabawek. Szokiem była dla mnie lalka ze szklanymi, jak prawdziwe, oczkami, którą nazwałam Codina. Jesteśmy nadal, przez wiele lat, przyjaciółkami i mieszkamy razem. Choć czas zmył kolory z jej buzi, to oczy pozostały równie świeżące. Drugą cenną zabawką był mały serwis metalowy, dla lalek. Był on cenny i z tego powodu, że mama używała go jako formy na mydełko dla mnie. Chłopcy bawili się wystruganymi z drewna szabelkami.

Zbieraliśmy się na poważnych, dzieciennych dyskusjach o ojcach, którzy walczyli gdzieś na froncie. Każde z nas miało spotkać się ze swoim ojcem, zaraz po powrocie do Polski. Ja również bardzo czekałam na to spotkanie i przez wiele lat wyobrażałam sobie jak to będzie. Nie wiem, czyje marzenia spełniły się, ilu z tych oczekiwanych ojców powróciło z frontu, ilu miało odwagę powrócić do swoich z armii na Zachodzie, a za taki powrót płacić zdrowiem, nawet życiem.

Wśród tych dzieci były dzieci oficerów zamordowanych w Katyniu, Charkowie i Twerze, ale o tym dowiedziałam się pół wieku później, gdy poznałam Alinę i opowiedziałyśmy sobie nasze rumuńskie dzieciństwo. Mój ojciec nie powrócił nigdy i nawet jego losy do końca nie są mi znane. Mój ojciec, trzydziestoletni oficer, został zamordowany bestialsko w lesie na Kosogorach koło Katynia w kwietniu 1940 roku. Mord w Katyniu przerwał wszystko, nie tylko moim rodzicom, pięciu moim kuzynom, których dzieci, również nie doczekały powrotu swoich ojców... Miejsca ich internowania i zamordowania są przez 58 lat nie ujawnione.

Zycie, pozornie normalne, było jednym wielkim oczekiwaniem na koniec wojny, oczekiwaniem na powroty mężów, ojców, braci i synów. Mimo gościnności Rumunów, czekano na wyjazd do Polski. Polacy podejmowali próbę powrotu do domów jeszcze podczas toczącej się wojny, ale uformowany transport zawrócono z granicy.

Nawet my, dzieci, wiedziałyśmy, że czeka na nas nasz kraj. Traktowałam to spotkanie z Polską niezwykle poważnie, do tego stopnia, że dowiedziawszy się o przekroczeniu granicy, odmówiłam posługiwania się językiem rumuńskim.

Starsi zdawali sobie sprawę, że powrót do Polski, opanowanej przez ZSRR, nie wróży nic dobrego, ale mam wrażenie, że nie zdawali sobie sprawy, na co będą narażeni. Należeli przecież do elity wojska polskiego, której połowę zlikwidowano w Katyniu.

Mój dziadek wiedział, że w 1943 roku dokonano ekshumacji w Katyniu, o czym informowała obszernie prasa rumuńska. Wiedział, że zwłoki mojego ojca zostały zidentyfikowane. Ukrywał ten fakt przed nami. Co myślał, gdy jechaliśmy na spotkanie, do którego nigdy nie miało dojść? Przekazał nam jeszcze jedną modlitwę, modlitwę Adama Mickiewicza – O grób dla kości naszych w ojczystej ziemi, błagamy Cię Panie. Pewnie wierzył, że tylko ta modlitwa ma szansę spełnić się w przypadku mojego ojca.

Nadszedł wreszcie czas końca wojny. Babcia przygotowała zaprowiantowanie na drogę i ruszyliśmy do Bukaresztu pociągiem, który jechał torami, przecinającymi drogę codziennych naszych wypraw z dziadkiem, do tajemniczego lasu. Na ogromnym peronie bukareszteńskiego dworca czekały małe

dzieci, ich matki i rodziny, by ruszyć do Polski. Jechaliśmy zadowoleni w towarowych wagonach i na odkrytych lorach. Droga trwała wiele dni. Nikt nie wiedział, jaki los na nas czeka. Myślę, że nawet nikt nie przewidywał jak okrutny.

Pierwsze wspomnienie ze spotkania z Polską to purpurowa łuna palonych wokół Przemyśla wsi. Ta purpura nie zapowiadała niczego dobrego, była stygmatem śmierci zadawanej jeszcze długo po wojnie. Była znakiem nienawiści. Była też zapowiedzią sieroctwa – bez ojca. Dla dziadka zapowiedzią ubeckiego więzienia i lat prześladowań za pochodzenie i za „skazę katyńską”.

A co było pisane mnie, dziecku zamordowanego oficera? Plaster na ustach, dramat rodzinny i tragedia ojca zawierające się w słowach:

Ojciec, Tato,
słowa nigdy nie wypowiedziane,
odstrzelone suchym strzałem
od dziecinnych ust...
powracają falą gorącą gdy...
w głębi katyńskich dołów
w stertach sprasowanych ciał
wśród tysięcy umęczonych
– nasi Ojcowie.